

Biuletyn Instytutu Zachodniego

Stany Zjednoczone zawiodły w Syrii



Nr 189/2015
05'10'15

INSTYTUT ZACHODNI
im. Zygmunta
Wojciechowskiego
Poznań

Autor:
Jadwiga Kiwerska

Redakcja:
Marta Götz
Radosław Grodzki
Krzysztof Malinowski

Korekta:
Hanna Różanek

Obserwując rozwój wydarzeń w Syrii, trudno oprzeć się wrażeniu, że oto Stany Zjednoczone doświadczają kolejnego niepowodzenia w tym regionie świata. Zarówno brak spektakularnych sukcesów w walce z Państwem Islamskim, jak i trwająca już ponad cztery lata syryjska wojna domowa, toczona przez powstańców z reżimem Baszara al-Asada, okupiona ponad 200 tys. zabitych i około czterema milionami uchodźców, wreszcie będące tego wszystkiego efektem wejście Rosji do gry stanowią potwierdzenie tezy, że Amerykanie zawiedli w Syrii. Zresztą od początku konfliktu syryjskiego administracja Baracka Obamy wykazywała zadziwiający brak zdecydowania i konsekwencji. W rezultacie jej strategia okazała się zupełnie nieskuteczna.

Przypomnijmy bowiem, że w przeciwieństwie do niektórych państw regionu Afryki Północnej, gdzie „arabska wiosna” w 2011 r. skutkowałą obaleniem autorytarnych reżimów, co notabene wcale nie oznaczało osiągnięcia politycznej stabilizacji, to w Syrii nie tylko nie udało się odsunąć od władzy prezydenta Asada, ale masowe demonstracje i protesty przerodziły się w zbrojne powstanie. Wkrótce kraj ogarnęła wojna domowa pochłaniająca coraz większą liczbę zabitych, głównie wśród cywilów. Wojska Asada atakowały rebeliantów, nie przebijając w środkach i nie licząc się z ofiarami. Mimo że ostrożne szacunki z połowy 2013 r. wskazywały już na ponad 100 tys. zabitych, to Stany Zjednoczone, podobnie zresztą jak większość społeczności międzynarodowej, wydawały się oswojone z tą tragiczną sytuacją w Syrii. Udzielano wprawdzie pomocy humanitarnej, ale odmawiano wsparcia militarnego, nawet dostarczenia powstańcom walczącym z reżimem Asada sprzętu wojskowego.

Momentem przełomowym w konflikcie syryjskim, zmuszającym USA do interwencji, nie stało się nawet użycie przeciwko powstańcom – prawdopodobnie przez władze w Damaszku – w sierpniu 2013 r. broni chemicznej, co spowodowało śmierć ponad 1400 Syryjczyków. A jeszcze rok wcześniej, w gorącym okresie kampanii wyborczej, prezydent Obama zapowiadał, że atak bronią masowego rażenia w konflikcie syryjskim będzie traktowany jako przekroczenie „czerwonej linii” i spotka się z ostrą reakcją Ameryki. Takiej reakcji nie było. Prezydent najpierw próbował przerzucić na Kongres odpowiedzialność za ewentualne użycie siły wobec władz w Damaszku, zwracając się do niego o zgodę na zbrojną interwencję (chodziło najwyżej o zbombardowanie syryjskich instalacji wojskowych przy pomocy zdalnie sterowanych pocisków). A przecież w myśl prawa nie musiał tego czynić. Przypomnijmy, prezydent jako wódz naczelny może inicjować akcje zbrojne na własną odpowiedzialność, a do Kongresu o zgodę musi się zwrócić wówczas, gdy działania trwają dłużej niż 60 dni. Zresztą takiej zgody prawdopodobnie by nie otrzymał, gdyż nastroje społeczne, wyrażane również na Kapitolu, były zdecydowanie przeciwko takiej akcji.

Dlatego niemal wybawieniem dla Obamy z trudnego dylematu – czy wypełnić swą zapowiedź i narazić się na społeczną krytykę w kraju, czy odstąpić od niej, narażając na szwank autorytet światowego lidera – była propozycja złożona przez Rosję, głównego protektora reżimu Asada, aby syryjska broń chemiczna została przekazana międzynarodowym obserwatorom i następnie zniszczona. Inicjatywa rosyjska spotkała się z natychmiastową niemal reakcją Waszyngtonu, mimo że po aferze Edwarda Snowdena, a także wobec niechętnego stosunku Putina do propozycji rozbrojeniowych Obamy i różnic w podejściu do Syrii relacje na linii Rosja-USA były wówczas już bardzo chłodne. Gdy w połowie września 2013 r. władze w Damaszku, pod naciskiem Rosji, przystały na porozumienie, a następnie jego zapisy odnoszące się do przejścia i unicestwienia syryjskiej broni chemicznej, ujęte w formie rezolucji ONZ, zaczęto realizować, ten etap kryzysu syryjskiego uznano za zakończony.

Jednak to zwycięstwo dyplomacji tylko pozornie można było traktować jako wielki sukces. Skala tego sukcesu w odniesieniu do poszczególnych, zaangażowanych w negocjacje stron była bowiem różna. Przejęcie pod nadzór międzynarodowy, a następnie stopniowe niszczenie syryjskich zasobów broni chemicznej było niewątpliwie skutecznym rozwiązaniem w zakresie rozbrojenia. Z drugiej jednak strony, Stany Zjednoczone wychodziły z tej fazy konfliktu syryjskiego z osłabionym autorytetem. Uderzał brak determinacji i konsekwencji prezydenta Obamy, który okazał się niezdolny do podjęcia trudnej decyzji. Zwrócenie się do Kongresu o zgodę na zbrojną interwencję w Syrii było demonstracją słabości amerykańskiego przywódcy. I chociaż



można znaleźć uzasadnienie dla sposobu postępowania administracji Obamy, wykazującej objawy syndromu niedawnych zgubnych interwencji USA w Afganistanie i Iraku, to jednak trudno nie dostrzec różnych negatywnych i niebezpiecznych tego skutków. Pojawił się bowiem groźny precedens, gdy Stany Zjednoczone, uchodzące za główny czynnik porządku międzynarodowego, boją się interweniować. Mogło to mieć groźne konsekwencje nie tylko dla pozycji i rangi tego państwa w świecie, ale przede wszystkim dla układu globalnego. „Jeżeli nie podoba wam się świat, w którym USA regularnie interweniowały, zobaczcie, jak wam się podoba ten, w którym tego nie robą” – pisał Timothy Garton Ash.

Ogromnie zawiedzeni byli syryjscy bojownicy, dla których porozumienie z Asadem oznaczało przede wszystkim to, że Amerykanie nie podejmą działań zbrojnych. A bardzo liczyli na amerykańskie ataki wymierzone w strategiczne obiekty syryjskiej armii. Rosło więc poczucie, że losy walki powstańców z siłami reżimowymi nie obchodzą świata zachodniego, że nie mogą już oni liczyć na amerykańską pomoc. W ten sposób tworzyła się groźna sytuacja – przestrzeń dla islamskich radykałów, a nawet terrorystów. To właśnie ich wzmożona aktywność doprowadziła w czerwcu 2014 r. do powstania na obszarze wschodniej Syrii i zachodniego Iraku kalifatu pod nazwą Państwa Islamskiego.

Natomiast głównym zwycięzcą w tej rozgrywce o Syrię okazała się Rosja. Obok faktu, że inicjując dyplomatyczne rozwiązanie kryzysu, niemalże rzuciła koło ratunkowe administracji Obamy, to jeszcze wzięła najwięcej politycznych i prestiżowych profitów. Nagle Rosja wystąpiła w roli głównego rozgrywającego w tym konflikcie międzynarodowym. Bo to rosyjski prezydent Władimir Putin zyskał najważniejszy głos w decydowaniu nie tylko o losach Syrii, ale pośrednio także o ewentualnej interwencji zbrojnej Stanów Zjednoczonych. Pisano, że „prezydent USA sam, na oczach świata, zrezygnował z części swojego autorytetu. Przyznał, że nie powinien decydować sam. Dopuścił do decyzji Putina, którego akcje na arenie międzynarodowej wzrastają”. Co więcej, prezydent Asad, jeden z najbardziej despotycznych władców na Bliskim Wschodzie został niemal nobilitowany, bo stał się stroną w międzynarodowym traktacie.

Czyż dzisiaj nie mamy do czynienia z analogiczną niemal sytuacją? Znowu do działania w tej części świata przystępuje Rosja. Stało się tak dlatego, że Ameryka, a właściwie cały Zachód, nie podołał wyzwaniom w tym regionie. Wprawdzie w sierpniu 2014 r. Stany Zjednoczone rozpoczęły ataki z powietrza na pozycje dzihadystów z Państwa Islamskiego, najpierw na obszarze Iraku, a ponad miesiąc później także na obszarze Syrii. Operacja prowadzona była na początku z wielkim impetem, a



występując we wrześniu 2014 r. na forum Zgromadzenia Ogólnego NZ, prezydent Obama zapowiadał: „Stany Zjednoczone będą działać w ramach szerokiej koalicji, by zlikwidować tę sieć śmierci. (...) Użyjemy naszej potęgi militarnej w kampanii nalotów, które zniszczą Państwo Islamskie”.

Jednak po roku prowadzonych bombardowań pozycji wojsk kalifatu trudno było mówić o jakichś spektakularnych sukcesach. Mobilność dżihadystów była tak duża, że udawało im się umknąć przed nalotami. Chociaż jeszcze w kwietniu 2015 r. wydawało się, że samozwańczy kalifat jest w odwrocie, przynajmniej w Iraku, gdzie utracił on kontrolę nad 20-30 proc. wcześniej zajętych terenów. Oznaczało to, że uderzenia z powietrza w połączeniu z działaniami sił irackich na lądzie przynoszą efekty. Natomiast w Syrii sytuacja wyglądała zgoła odmiennie. Mimo przeprowadzonych od sierpnia 2014 r. do kwietnia 2015 r. ponad 1,3 tys. nalotów na pozycje dżihadystów w Syrii (80 proc. tych ataków dokonały siły amerykańskie), Państwo Islamskie nie tylko utrzymało posiadane tereny, ale przejęło kolejne obszary, m.in. wokół Damaszku i drugiego dużego syryjskiego miasta – Himsu. W połowie 2015 r. reżim Asada kontrolował jedynie jedną piątą terytorium kraju.

W Syrii problem polegał na tym, że tutaj wszyscy walczyli ze wszystkimi i Stany Zjednoczone nie miały już żadnej sojuszniczej siły, z którą mogłyby współpracować – Syryjska Wolna Armia i związane z nią umiarkowane grupy przeciwników Asada właściwie się nie liczyły. Dlatego od początku 2015 r. Pentagon realizował projekt wyszkolenia ok. 20 tys. bojowników syryjskich, umiarkowanych i lojalnych wobec Amerykanów, którzy prowadząc walkę z siłami Asada, podjęliby też po stronie amerykańskiej ataki na radykałów z Państwa Islamskiego. Jednak amerykański program szkolenia bojowników zakończył się zupełnym fiaskiem – w ciągu sześciu miesięcy Amerykanie zdołali wyszkolić zaledwie 60 bojowników (przypomnijmy, że w potyczce z dżihadystami na początku sierpnia 2015 r. pięciu z nich zginęło, 18 zostało rannych, a siedmiu porwano).

Te spektakularne niepowodzenia Stanów Zjednoczonych w starciu z Państwem Islamskim otworzyły przed prezydentem Putinem szansę ponownego wkroczenia do rozgrywki międzynarodowej, z której nie tak dawno – jako retorsja za jego działania wobec Ukrainy – został wyeliminowany. Przerzucanie do Syrii nowoczesnego sprzętu wojskowego, w tym bombowców, samolotów szturmowych i myśliwców, oraz elitarnych jednostek bojowych Rosja rozpoczęła w lecie 2015 r. Uzbrojenie oraz żołnierzy rosyjskich umieszczano w szybko rozbudowywanej bazie lotniczej pod Latakiją, skąd 30 września 2015 r. rozpoczęto tzw. operację antyterrorystyczną. Oficjalnie bowiem celem działań Moskwy jest wsparcie syryjskich



wojsk rządowych w walce z Państwem Islamskim, ale z pewnością Rosjanie włączą się do trwającej przecież nadal wojny domowej po stronie reżimu Asada, którego Putin konsekwentnie od lat popierał. Nieuniknioną ceną za zaangażowanie Rosji w konflikt syryjski będzie więc wzmocnienie/przetrwanie władz w Damaszku.

Paradoksalnie, Stany Zjednoczone i ich sojusznicy zaakceptowali posunięcia Rosji, jakby uznając, że bez jej pomocy nie uda się pokonać radykałów z Państwa Islamskiego. Można było nawet odnieść wrażenie, że Amerykanie są z tego zadowoleni – Moskwa zdejmowała z ich barków część ciężaru walki z Państwem Islamskim i niemal dawała im szansę wyplątania się z konfliktu syryjskiego. Pojawiały się nawet głosy dowodzące, że udział Rosji stwarza nowe perspektywy dla rozwiązań dyplomatycznych w Syrii. O tym mówił sekretarz stanu John Kerry. To niewątpliwie spowodowało, że prezydent Obama zdecydował się spotkać z Putinem w Nowym Jorku przy okazji obrad Zgromadzenia Ogólnego NZ we wrześniu 2015 r. Dla przywódcy Rosji było to spotkanie bardzo ważne, oznaczające być może kres ostracyzmu, którego doświadczał na arenie międzynarodowej od ponad roku.

Dla Waszyngtonu natomiast przyzwolenie, aby Rosja włączyła się w konflikt syryjski, oraz uznanie jej za partnera w rozwiązaniu problemu Syrii mogły mieć na dłuższą metę zupełnie odwrotną wagę. „Bezczynne patrzenie, jak Rosjanie przejmują inicjatywę, to dowód całkowitej abdykacji Ameryki z przywództwa i odpowiedzialności w regionie” – twierdził Christopher Harmer, analityk z waszyngtońskiego *Institute for the Study of War*. Rzeczywiście, można odnieść wrażenie, że Stany Zjednoczone godzą się na możliwość zredukowania swych wpływów na Bliskim Wschodzie w zamian za przejęcie przez Moskwę ciężaru walki z terroryzmem w tej części świata.

Zresztą wobec rozgrywającego się obecnie dramatu uchodźców pochodzących przede wszystkim z Syrii, którzy tysiącami starają się przedostać do państw Unii Europejskiej, aby znaleźć tutaj schronienie przed wojną, biedą i zagrożeniami, pomoc Rosji w rozwiązaniu problemu syryjskiego także dla Europy wydaje się bardzo korzystną opcją. Nie ma bowiem wątpliwości, że kryzysowi migracyjny na kontynencie europejskim można zaradzić tylko poprzez zlikwidowanie jego przyczyny – wojny i terroru w Syrii.

Tym większe więc profity wyciągnie prawdopodobnie Rosja w wyniku swojego zaangażowania w ten etap rozgrywającego się na Bliskim Wschodzie konfliktu. Komentatorzy są zgodni, że przede wszystkim będzie to powrót Putina na „salony dyplomacji” i uznanie, że bez Rosji nie uda się rozwiązać głównych problemów dzisiejszego świata. W sytuacji, gdy Stany Zjednoczone z wielkimi oporami oraz bez



niegdysiejszej energii i zapału pełnią rolę przywódcy/policjanta świata, Rosja gotowa jest wykorzystać każdą okazję, aby na arenie międzynarodowej wzmocnić swą rolę i rozszerzyć wpływy. Putin okazał się mistrzem w dyskontowaniu takich sytuacji, jak w Syrii. Niewątpliwie też prezydent Rosji nie będzie miał skrupułów, aby w zamian za pomoc w walce z Państwem Islamskim zażądać ustępstw w kwestii Ukrainy: zniesienia sankcji, przystania na autonomię Donbasu i wyeliminowania tematu aneksji Krymu. Trzeba też będzie przestać mówić o ewentualnym członkostwie Ukrainy w NATO.

Czy Stany Zjednoczone/Europa będą gotowe taką cenę zapłacić, w dużym stopniu zależy od tego, jak bardzo skuteczna w Syrii okaże się Rosja. A można założyć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że nie zawaha się ona prowadzić działań zbrojnych na dużą skalę. Putin bowiem nie musi się liczyć z pacyfistycznie nastawionym społeczeństwem rosyjskim. Najważniejsza jest skuteczność i osiągnięcie celu, a nie dbanie o *soft* wizerunek rosyjskiego prezydenta.

Nie można jednak wykluczyć, że skoncentrowanie rosyjskich ataków przede wszystkim na przeciwnikach reżimu Asada, a także zbytnie „rozpychanie się” Rosji w regionie bliskowschodnim będzie powodem ostrej reakcji Amerykanów. Wszak stawką jest pozycja Stanów Zjednoczonych w tym tak ważnym strategicznie regionie świata. W takiej sytuacji Biały Dom będzie musiał się jednak zdecydować na bardziej niż dotąd przemyślaną i zdeterminowaną taktykę postępowania, zarówno w regionie, jak i wobec Rosji. Życzymy sobie, aby tak się stało. Aby nie trzeba było płacić Rosji zbyt wysokiej ceny.

Tezy zawarte w tekście wyrażają jedynie opinie autora.

Jadwiga Kiwerska – prof. dr hab., pracownik Instytut Zachodniego i Collegium Da Vinci w Poznaniu, historyk i politolog, specjalista w zakresie stosunków międzynarodowych, zwłaszcza polityki amerykańskiej.

